



Roztocze Lwowsko-Tomaszowskie.

Podróżnikowi, jadącemu koleją Karola Ludwika od Krakowa na wschód — cała północna Galicya, objęta dorzeczem Wisły i Sanu, przedstawia się jako nadzwyczaj monotonna płaszczyna, wzniesiona w najwyższych miejscach około 250 m. nad poziom morza,

w której z pod grubej powłoki piasków dyluwialnych i lessu odsłaniają się jedynie na dnie głębiej wyżłobionych dolin rzecznych siwe, łyszczykowe łąki miocenijskie ze śladami gipsu, znane w literaturze geologicznej pod nazwą „iłów Krakowieckich“. Równina ta





wznosi się bardzo stopniowo aż do Lwowa, gdzie kolej przekracza wężki dział wodny Tanwi i Buga, aby znowu zniżyć się w płaskie bagniste niziny Galicyjskiego Pobuża, gdzie na każdym kroku z pod jałowych piasków dyluwalnych i torfowisk przegląda biała lub siwa opoka kredowa, stanowiąca dalej podłoże całego Wołyńskiego Polesia. Poczynając od Lwowa ku południowi wznosi się ostro wyżartą przez wody lodowcowe stroma krawędź Podolskiego płaskowyżu, średnio do 400 metrów wzniesiona.

Monotonię nizinnego krajobrazu północnej Galicyi przerywa tylko jedno ważne pod względem geograficznym pasmo wzgórz — zwane roztoczem Lwowsko-Tomaszowskim.


Pasma to w najwyższych swych punktach wzniesione 395 m. nad poziom morza, średnio zaś 350 m., a około 100 do 150 m. nad poziom obu przylegających od wschodu i zachodu nizin, stanowi dział wodny Tanwi i Buga i ciągnie się nieprzerwanem pasmem około 2 mil szerokim, od Lwowa, gdzie się łączy z północną krawędzią Podolskiego płaskowyżu, do Tomaszowa, gdzie wkracza w granice Lubelskiego, tworząc i tutaj najwyższe wzniesienie pomiędzy Tomaszowem i Kraśnikiem, aż zlewa się wreszcie z płaszczyzną Radomską. Roztocze jest nie tylko ważną linią działu wodnego, ale pod wieloma innymi względami przedstawia szczególny interes. Przedewszystkiem bowiem jest to pomimo nieznacznej swej wysokości grzbiet górski bardzo starożytny, który rozdzielał dorzecza Wisły i Dniepru jeszcze w epoce łądu eoceńskiego, a tem samym stanowić musi ważną granicę zarówno geologiczną jak klimatyczną i florystyczną, jakiej trudno by gdzieindziej w Polsce znaleźć. Ale przejdźmy rozmaite właściwości roztocza po kolei, zaczynając od jego budowy geologicznej, stanowiącej podstawę innych jego właściwości. Wewnętrzne jądro całego roztocza tworzy szeroki garb kredowej opoki, ciągnący się w kierunku z południowego wschodu na północny zachód. Garb ten (antyklina) na południe Lwowa — w granicach Podolskiej płyty — wzniesiony do blisko 400 m., zniża się stopniowo ku północy: w okolicy Tomaszowa spada do 300 m. a jeszcze dalej ku Puławom — do 200 m. nad poziom morza, zlewając się z Lubelską rów-

niną. Pokład opoki, nieznaney lecz bardzo znacznej grubości (powyżej 600 m.), dla wody całkowicie nieprzepuszczalny, stanowi we wschodniej Galicyi główny poziom wodny, do którego dochodzą studnie. Otóż, jeśli zważymy, że grzbiet opoki w roztoczu posiada spadek na dwie strony — ku Tanwi i Bugowi — znajdziemy wytłumaczenie przyczyny działu wodnego, a ponieważ nadto powierzchnia tego garbu, przysłoniętego przez przepuszczalne piaski późniejszych formacji, jest bardzo nierówna i wyżarta, od poziomu występowania opoki w różnych miejscach cała hydrografia okolicy jest zależna.

Wypiętrzenie antyklinalne kredowej opoki jest bardzo dawne i odnieść je należy do epoki eoceńskiej, kiedy cały obszar ziem polskich po kredowym zalewie wynurzył się na krótki czas z morza.

W następującym okresie oligoceńskim konfiguracja ziem polskich jest taka, iż znowu kredowy grzbiet roztocza rolę pierwszorzędnego działu wód odegrywać musi: z jednej bowiem strony całe Krakowskie i Sandomierskie wraz z Galicyą zachodnią tworzyło część łądu, którego północno-wschodni brzeg przechodził wzdłuż grzbietu roztocza, a dalej przez Puławy i Radom kierował się ku Wielkopolsce, z drugiej, — od ujścia do źródtowisk Niemna szła południowa granica ówczesnego łądu Skandynawskiego, pokrytego lasami drzew żywicznych, dostarczających bursztynu. — Pomędzy te dwa łądy wrzynała się od północy ku Ukrainie płytka cieśnina morska, zalewając Podlasie i część Litwy, oparta na południu o granitowy łąd Wołynia, porośły podówczas podzwrotnikową roślinnością palm, (*Sabal Ucrainica*), Fikusów (*Ficus Rogowiczii*), Ananasów (*Bromelites Dolinskii*) i t. p. Południowo zachodni brzeg tej (oligoceńskiej) cieśniny dochodził do wschodniego stoku roztocza a fale morskie wyżarły w twardej opoce głębokie fiordy i doliny. — W epoce przeto oligoceńskiej roztocze stanowiło brzeg łądu od strony Prusko-Litewskiego bursztynowego morza, które roznosiło pływające pnie żywicznych sosen (*Pinus succinifer*) od ujścia Niemna aż hen po Kijów.

Oligoceński zalew morski Litwy i Polesia trwa jednak krótko — już z końcem oligocenu



ład Polsko-Litewski wynurza się znowu z wody, aby przy następnej oscylacji poziomu — z końcem epoki miocenińskiej częściowo znów się w morzu zatopić, przyczem ponownie rola geograficzna roztocza silnie się zaznacza. Morze Śródziemne, które w owym czasie pokrywało w postaci rozległego archipelagu całą niemal Europę Środkową, wskutek towarzyszącego ówczesnemu wypiętrzeniu Karpat zapadnięcia Podkarpackiego niżu, zalewa od południa całą Galicyę, Krakowskie, G. Śląsk, część Wołynia i Podola — a północny brzeg jego opiera się o podnóże gór Świętokrzyskich, ku wschodowi nie przekraczając linii roztocza. Utworów morskich epoki miocenińskiej na wschodniej stronie roztocza, a na północ krawędzi Podolskiej niema, a możliwość przypuszczenia o zniszczeniu niegdyś istniejącej tam warstwy osadów tego wieku przez późniejszą erozyę lodowcową nie da się udowodnić znalezieniem chociażby nikłych śladów utworów podobnych na Wołyńskim i Litewskim Polesiu. I teraz więc roztocze stanowi wał graniczny, którego morze przerwać nie zdołało. Ale wał ten, stanowiąc zaporę dla dalszego rozpostarcia się morza Śródziemnego, w inny jeszcze sposób istnienie swoje zaznaczył: oto na mieliźnie przybrzeżnej, utworzonej z poszarpanych skał kredowego garbu, morze nagromadziło potężne masy czystych piasków, wśród których wyrosły rozległe ławice wapiennych wodorostów kulistych (*Lithothamnium*), które wytworzyły znaczne pokłady i gniazda wapieni, dostarczających dobrego kamienia ciosowego. Pokłady tego wapienia, jako najtwardsze i najodporniejsze na działanie czynników atmosferycznych, ocalały wszędzie, tworząc najwyższe szczyty wzgórz w roztoczu, a leżą zawsze na podłożu sypkich piasków. Granica tych pokładów litotamniowych, szeroko zresztą rozpostartych gdzieindziej — np. na Podolu i w Krakowskim, w obrębie Galicyi północnej nie przekracza w żadną stronę granic roztocza: ku wschodowi niema ich, bo tam już morze mioceniskie nie sięgało, ku zachodowi zaś — gdzie morze stawało się głębsze — np. koło Krakowca, Szklä, Lubaczowa, Gródka — morze osadziło wyłącznie siwe łupkowe iły głębinowe, — a granica obu tych utworów — wapieni litotamniowych (rafiy brzegowej) i iłów głębinowych jest nad-

zwyczaj ostro zaznaczona wzdłuż całego zachodniego stoku roztocza.

W ostatnim okresie dyluwialnym, kiedy mętne wody topniejącego lodowca przysłoniły wszystkie starsze utwory w Polsce grubą warstwą napływową, roztocze nie przestaje odegrywać swej dawnej roli działu wodnego: a wody lodowcowe, zarówno jak późniejsze wody deszczowe, rozczłonkowały dawny jednolity garb kredowy, przykryty piaskami i wapienną rafą mioceniską, rzeźbiąc w nim głębokie parowy o urwistych skalistych stokach, które, pomimo nieznaczej, bo zaledwie 100 — 150 m. wynoszącej różnicy wysokości od średniego poziomu niżu zarówno nadbużańskiego jak nadtanewskiego, tworzą krajobrazy niezmiernie malownicze i dzikie, o zupełnie górskim charakterze.

Pozostaje wreszcie jeszcze jedna właściwość roztocza, wynikająca z jego składu geologicznego — a tą jest nadzwyczajna obfitość wód źródłanych na zachodniej jego stronie: w tym kierunku spada główny pochył nieprzepuszczalnego kredowego podłoża, a przysłaniające je potężne masy przepuszczalnych piasków mioceniskich pełnią rolę olbrzymich filtrów wody deszczowej, spływającej z całego obszaru roztocza przede wszystkim w kierunku zachodnim — tu jednak, napotykając pod cienką powłoką napływów dyluwialnych zamiast mioceniskich piasków — znowuż nieprzepuszczalne, a bardzo grube (zwyż 200 m.) siwe iły łupkowe, źródła zachodniego stoku roztocza rozlewają się w szereg jezior, od okolic Jaworowa przez Janów do Gródka się ciągnący (wodociągi lwowskie zasilane są źródłami w pobliżu Janowa). Pewna część tych źródeł, przechodząc przez najwyższe pokłady wapiennej rafy litotamniowej, zawierające rozproszone obfite kryształki gipsu, nabiera własności silnych źródeł siarczanych, jakie w wielkiej obfitości spotykamy wzdłuż zachodniego stoku roztocza i jego przedłużenia podolskiego (Horyniec, Niemirów, Pustomyty, Lubień).

Dodajmy do powyższego geologicznego szkicu, iż cały obszar roztocza pokrywają dotychczas olbrzymie lasy zarówno szpilkowe jak liściaste, a będziemy mieli przybliżony obraz tego ładnego, a dziś dzięki zbudowaniu w jego obrębie trzech kolei łatwo do-

stępnego zakątka ziemi naszej, w którym zwłaszcza dla florystów i faunistów naszych bogate przedstawia się pole. — Nie chcąc wkraczać w zakres tych dziedzin, które w przyszłości kompetentniejsi odemnie przedstawić będą mogli, nadmienię jedynie, iż dzięki roli granicznej, jaką roztocze tworzyło pomiędzy łądami i morzami, przelewającemi się raz z jednej, raz z drugiej jego strony, spodziewać się należy znalezienia w tym pasmie rozmaitych szczątkowych pozostałości dawnych flor i faun zaginionych, zarówno z epoki dyluwialnej, jak zapewne i starszych jeszcze okresów cieplejszego klimatu. — Przypomnę np., że niedaleko stamtąd — w puszczy Sandomierskiej prof. Raciborski znalazł kilkumorgowy las *Rhododendronów* (*Rh. ponticum*), rosnących również w kilku miejscach Wołyń-

skiego Polesia, dalej, że graniczny charakter roztocza cechuje dziwna mieszanina flory Podolskiej z roślinami właściwemi Polesiu lub odległym okolicom górskim (np. *Ribes petrosum* i *Ribes nigrum*) brusznice, żórawiny etc., a fauna owadów także przedstawia dziwną mieszaninę rozmaitych okolic, a sądzę, iż niejednego zachęcę do zwiedzenia tego ciekawego zakątka, zwłaszcza gdy łatwo dostępne letnisko w Janowie, oraz nowo otwarty głośny niegdyś zakład zdrojowy w Niemirowie dają możliwość dobrego punktu oparcia do wycieczek naukowych, przedtem możliwych jedynie dla ludzi, posiadających osobiste stosunki z kilkoma właścicielami wielkich obszarów leśnych w tej okolicy, którzy się przyrodą nazbyt gorliwie nie zajmowali.

Lwów.

Dr. Józef Siemiradzki.

Pieśniarze Przyrody Polskiej.

(Dokończenie).

Wielce szlachecką za to jest „Pieśń o ziemi naszej“ Wincentego Pola, w której, o ile jest ziemia nasza, o tyle poezji we właściwym jej znaczeniu — niewiele, gdyż porywy uczucia i natchnienia poety pokrywa dydaktyka geografa zawodowego i pewna pretensjonalność moralizatorska i nauczycielska miłości ojczyzny. Poglądy i tendencje szlacheckie krajoznawstwa nie mniej przeto są u Pola czynnikami wielkiej szlachetności wyrażeni i wyobrażeń przyrody ojczystej, do których się przywiązało całe pokolenie „braci młodych“, śniących boleśnie o krainie snów, o krzepkości kresów „gdzie po halach wiatr przegania uronione orle pióra“, o tym majestacie siły, w którym „jak potopu świata fale zatrzymane w swoim biegu, by graniczny słup zuchwale, stoją nagie Tatry w śniegu“, o tych przepomnianych „twoich ziemiach — twoich wodach“, świadectwo własności prywatnej, którą tak znaczne spotykały utrudnienia w ostatnich stuleciach dzięki nieszczególnemu budowaniu przez jedną kasetę tylko pomostu od morza do morza. Pomiedzy geografami polskimi Pol jest najlepszym poetą, ale pomiedzy poetami nie najlepszym krajoznawcą, gdyż brak mu szczerego realizmu w odtwarzaniu przyrody ojczystej, którą zbyt często przesentymentalizowując, zaciera uroczytymi frazami.

Druga połowa XIX stulecia oznacza się na szlakach naszych stalowym podzwonem hasła pracy organicznej, która się dźwiga powoli z mgły konających hejnałów beznadziejnego smutku i przesmutnej tęsknoty. Gatunek ludzi z Bramy narodów, postawiony w najcięższe okoliczności życia, odruchowo pragnie zachować się w bytowaniu przez szczepienie za wszelką cenę miłości rozbitej ojczyzny, — miłości smutku, miłości popiołów i zgłiszcz. Tęskną jest lira tułacza Lenartowicza, jak głos ligawki mazowieckiej w jesienne mgłami oprzędzone świtanie senne. — Bezpretensjonalna treść szczerzej miłości ziemi mazowieckiej w harmonijnej strofie dumki zamknięta, którą co do melodyjności tylko z Zaleskim Bohdanem porównywać można — rozkwiciła się w sympaty całej Polski dla lirnika, jak ta kalina, co „rosła z liściem szerokim nad modrym w gaju rosła potokiem, drobny deszcz piła, rosę zbierała, w majomem słońcu liście kapała“ — którą jeszcze niedawno śpiewano od Odry po Dźwinę i od Karpat po Baltyk, jak te „Moje strony“ i „Jakto na Mazowszu“, których niedawno jeszcze musieli się wyuczać na wiązanie imieninowe synowie ojcom z 63-go roku. Mniej znane może szerszemu ogółowi jest nazwisko Antoniego Czajkowskiego, którego wdzięczny a szczerzy wiersz „Do Wisły“ stale znajduje się ja-

ko motto rozmaitych rozdziałów we wszystkich podręcznikach geografii polskiej lub polskiego krajoznawstwa

— szczególnie zaś to pogodne zapewnienie „że nasza się Wisła ukochana toczy przez kraj pszeniczny, polisty — uroczy“ — stało się wprost utartem określeniem wychowawczem.

Czas jednak jest najbardziej rozsądnym ze wszystkiego na świecie, bo nigdy się nie zatrzymuje, a przeciwnie ciągle równo idzie naprzód. Ileż to wody upłynęło od Mickiewicza do dzisiejszych nastrojowców, symbolistów, dekadentów i prawdziwych serdeczniejszych pieśniarzy. Zrozumienie dogmatu Wyspiańskiego, że „Polska to — zaiste — wielka rzecz“ coraz więcej wchodzi w rachunek i obliczenie we wszelakiej z Polski poczętej pracy. Coraz więcej mamy pieśniarzy szczegó-

łów krajoznawczych, coraz więcej bardów i gęślarzy oddzielnych części, części naszej wielkiej ziemi, ojczystym kątom lub ich wizjom strofy swe poświęcających. Co prawda niektórzy beznadziejny smutek mgieł ojczystych uważają tylko za odpowiednią dekorację do swoich t. zw. nastrojów, a właściwiej napompowań na pewną nutę swego mniej lub więcej ciekawego „ja“, czego rezultatem bywało czasami zbytecznie drobiazgowo zaznajamianie ogółu ze swym egotyzmem lub megalomanią. Mają zato Tatry swego Asnyka, Konopnicką, Nowickiego, Tetmajera, Brzozowskiego, Orkana, i tyluż innych, ma ziemia krakowska Rydla, Wyspiańskiego, Staffa — mają płaśnie przewidnione przyszłością bramy narodów, co w ziemi polskiej leży, swego Kasprowicza i

Reymonta, mają bory świętokrzyskie Żeromskiego, Niemen — Orzeszkową — prawie każdy za-

kątek ziemi polskiej ma dziś swojego barda czy pieśniarza — a każdy z nich jak motto, jako przygrywkę melodi w pieśni zawartej ma miłość tej ziemi, którą sprawdza na reagowaniu każdego na piękno słowy Konopnickiej:

*Kochasz ty dom,
[rodzinny dom,
Co w letnią noc wśród
[srebrnej mgły
Szumem swych lip
[w tórzyt wym snom,
A ciszą swą koi
[twe tzy?..
Kochasz ty dom,
[rzeźwiącą woń,
Skoszonych traw
[i pływających zbóż,
Wilgotnych olch
[i dzikich róż,
Co głogom kwiat
[wplatają w skroń?]*

Podstawą uroku treści pieśni jest coraz ściślej krajoznawstwo autora, aż do szczegółów homerycznych prawie — stąd bliskość gustów najmłodszych do eposu.

Np. płaśnie wody uspionej kołyszą gibkie grążele, na których spać przychodzą śmigłe świtezianki-szklarki i żagnice, w bładny blask księżycy poszły żerować pustułki, lelki i gacki... Ot i macie całych szereg nazw i wyrazów, nieznanym niejednemu uchu, które z przyrody ojczystej wyławia i wnosi do języka pieśni poeta uspionego stawu. Język nasz i tak bogaty z natury — kapitalista wdzięku — kuje ze złotych strun pieśni coraz większe bogactwa zwrotów, melodi — coraz większą różnorodność stylów i szat swych coraz większą „bajeczną kolorowość“, jak ten dojrzewający w słońku roztopionem sad maków kraśnych. Te zaś górne, czyste dzwoniące tonacy prowadzi do coraz prostszego, coraz serdeczniejszego obrazowania — jak tego dowiódł prof. Brückner. W sposo-

Do artykułu „Na dawnej rubieży“.



RESZTKI BRAMY LACKIEJ,
WYŻEJ KATEDRA Z MINARETEM.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.



bach jego obrazowania zwycięża coraz bardziej szkoła Mickiewiczowska, że się tak wyrażę — ot wezmę chociażby Rydla—z młodszych kolorystów:

*„Dzień był złocisty, niebo turkusowe,
Podobne wielkiej kopule sklepionej,
Stońce, uszedłszy drogi swej połowę,
Opromieniało z góry lip korony
I biały kościół. Przez liści osnowe
Zieloną blask się cedził rozrzedzony
I rozpościerał po ciemnej murawie
Centki świetlane—niby oka pawie“.*

Czy to nie plener i kolorysta—w dodatku tak ściśle, przyrodniczo! Obrazy przyrody ojczyste jednak—im życie bardziej się w przyszłość sunie, do coraz to głębszych kontemplacji ducha prowadzą, coraz to dalsze, pomimo niziności Polski i szarości jej doliny, odkrywają młodym pieśniarzom horyzonty, od których życie i krytyka smaku coraz to pożądlawiej dopytują się „orlej potęgi skrzydeł i piorunnej siły ramion“. Nie można już być dzisiaj nazwanym poetą dla samych wzniosłych, czy oryginalnych obrazów tylko i pocziwości ducha. Życie żąda więcej—bo słuchających i krytyków targa ból i tęsknota—o pochodzeniu nadzwyczaj

złożonym—stosunki społeczne żądają od rzeźmowca wieszczka drobności uspołecznienia... życie pyta o myśl głębszą, serdeczniejszą niż epos, niż to wszystko, „co już było“—a co się przecież nigdy w takiej samej formie nie wróci.

Ludzie rozsmakowali się dzisiaj dopiero w bajecznie rozumnym, a głębokim i smutnym Słowackim; młodej Polsce załechtał w marzeniach i bólach Wyspiański—wizjoner czujny a łkający prawdę „jak ten bór ciemnych smreków“. Coraz trudniej być nie tylko pieśniarzem narodu, ale chociażby i prawdziwym poetą, bo coraz więcej arystokratyzować trzeba Ducha, coraz więcej rozumieć, coraz głębiej czuć, nie ulegać „złudom różanym“—aby, jak mówią księgi Króla Ducha

*„jak zóraw skrzydłami ciężkimi
próbować nowej po błękitach drogi“.—*

pomimo to, że jednak świętą jest zaiste prawdą—pewnik przyrodniczo-krajoznawczy, a dogmat poezyi polskiej, że

„u nas w Polsce wszędzie jest pięknie“.

Konrad Chmielewski



Na dawnej rubieży.

2)

Najstraszniejszy był dzień 25 go sierpnia. Turcy podkopali minę pod bramę starego zamku i wysadzili ją w powietrze. Rzucili na miasto 150 granatów. Spłonął dach na kościele św. Katarzyny i cerkiew św. Jerzego. Już szanice nieprzyjacielskie dosięgały nieomal bram miasta; już turcy przeprowadzili miny pod kilka baszt; już trwoga ogarnęła serca wszystkich mieszkańców miasta: tylko w zamku jedynie nie tracono jeszcze otuchy. W mieście zebrała się przelękniona starszyzna miejska z biskupem na czele i po naradzie wywieszono białą chorągiew, najpierw na bramie Batorego, potem—na Lackiej i Ruskiej.. Następnie wysłano do turków sędziego Gruszeckiego i stolnika Rzewuskiego. W czasie podpisywania układów zrozpaczony dowódca artylerii, Hekling, wraz z dowódcą załogi, Wołodyjowskim, wysadzili część zamku w powietrze i zagrzebali się w gruzach razem z pięciuset ludźmi.

Turcy zgodzili się na następujące warunki ka-

pitulacyi: 1) żołnierzom wolno wyjść z bronią; działa stają się własnością zwycięzców; 2) mieszkańcom Kamieńca pozwala się wyjechać z dobytkiem; 3) pozostałym w mieście zapewnia się bezpieczeństwo osobiste i nietykalność majątku; 4) dla Polaków, Ormian, Rusinów — kościołów wedle potrzeby, reszta—na meczety; 5) domy szlachty i duchownych, zostających w mieście, wolne od postoju wojska.

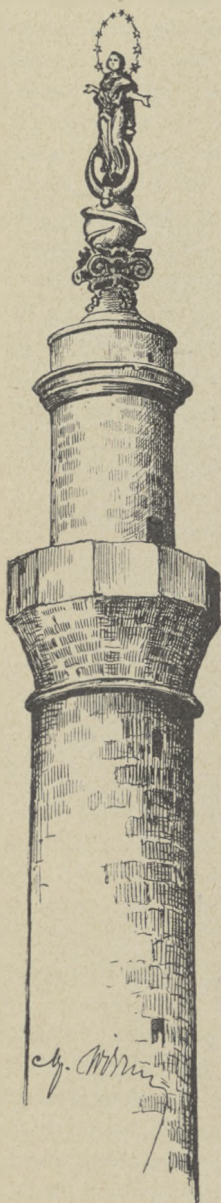
Dnia 28 sierpnia sułtan przyjmował w obozie powinszowania. W szeregu winszujących był biskup kamieniecki Wawrzyniec Lanckoroński, podkomorzy Maciej Lanckoroński i podstarości Als; wszyscy ubrani w kaftany, przysłane od wezyra.

Wjazd sułtana do miasta poprzedził janczar Aga. Odebrał od Alsa klucze miasta, pozdejmował krzyże z kościołów, a domy opuszczone przez część mieszkańców, którzy wyjechali na 300 wozach, zabrano dla sułtana, wezyra i baszów.

Mahomet IV wjechał do miasta przez bramę Ruską dnia 3-go września. Przebywszy rynek Ormiański, dostał się do katedry, gdzie dokonano uroczystości zamiany kościoła na meczet.

Sto wozów szło później za sułtanem do Stambułu, gdyż Turcy zabrali nietylko z miasta, ale z całego województwa ogromne skarby.

Oprócz katedry — zamieniono kościół Dominikański na koszary dla janczarów, a potem na meczet dla Halil-paszy, nowego komendanta. W kolegium Jezuickim pomieszczono konie. Klasztor Karmelitów Bosych rozebrano, a z materiału zbudowano nowy most, na miejscu dawnego, łączącego zamek z miastem. Gdzie stał kościół Karmelitów przy klasztorze, postawiono bastyon, tak zwany Bosacki.



SZCZYT MINARETU
W KAMIENCU.

Rys. M. Wisznicki.

Z dwudziestu siedmiu świątyń chrześcijańskich (wszystkich trzech wyznań) jedenaście zniszczono; trzynaście zamieniono na meczety, stajnie, koszary; trzy — pozostawiono dla chrześcian.

Wielki wezyr mury twierdzy naprawił i zostawił załogę pod dowództwem Halil-paszy. Zamek wzmocnili później Turcy dwiema basztami, miasto także lepiej ufortyfikowali.

Halil-pasza rządził kilkanaście lat Podolem. On to wytrzymał późniejsze oblężenia Jana Sobieskiego i syna jego, Jakóba; on sądził w Kamieńcu Jurka Chmielnickiego; on ozdobił meczet poddominikański prześliczną kazalnica.

Tryumfy wojenne Sobieskiego nie zdołały odebrać Kamieńca z rąk Turków, mimo że po wygranej pod Chocimem opasuje hetman Kamieniec, rzuca na miasto tysiąc bomb, pięćset kul armatnich, trzysta granatów. Przy tym szturmie rynek Polski strasznie ucierpiał, a Ormiański został zupełnie zburzony: jednakże Turcy nie poddali miasta.

W r. 1689 znowu bezskuteczna blokada. Wzniesiono okopy w celu ogłodzenia miasta, ale wszystko napróżno.

Zwycięzca z pod Wiednia i Chocima nie odebrał Turkom Kamieńca!

Zwrócił go dopiero Polsce traktat Karłowicki, zawarty 26-go stycznia r. 1699, za panowania Augusta II Sasa. Kamieniec pozostawał zatem w rękach Turków przez lat dwadzieścia siedem. Opuszczili go 22-go września. Janczar Aga oddał klucze od bram miasta Marcinowi Kątskiemu, wojewodzie kijowskiemu. Wprowadzono załogę polską; poświęcono kościoły; konsekracji dokonał ksiądz Chełmiński, sufragan kamieniecki.

Dowódca turecki, zdając twierdzę, umyślił prochy podpalić, lecz żarzący lont gołą ręką ugasił Kątski. Turcy zawarowali sobie, aby z minaretu przy katedrze półksiężycza nie rzucać, co też spełniono, lecz postawiono na nim figurę Matki Boskiej.

Smutny widok przedstawiało odzyskane miasto! Było ono zubożałe, wyludnione i zupełnie zniszczone. Podczas ćwierćwiekowych rządów tureckich upadła cała jego dawna świetność.

Wielkie zasługi położył Michał Potocki około restauracji i odbudowania kościołów i klasztorów. Powrócili zakonnicy i zakonnice; otworzono dawne szkoły.

August II prawa i przywileje mieszkańców potwierdził i założył w Kamieńcu towarzystwo strzeleckie, na wzór istniejącego we Lwowie, Krakowie, Poznaniu, aby obywatele miasta wyćwiczyć i przygotować do stawienia czoła nieprzyjacielowi w razie potrzeby.

W r. 1764 zapadła uchwała, aby twierdzę gruntownie odnowić, że jednak pokój z Turcją był zapewniony, nie wykonano tego postanowienia.

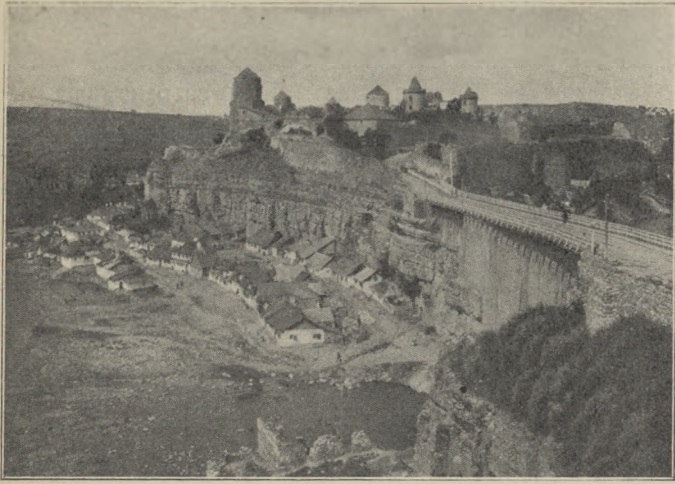
W kilka lat potem zbudzony do życia Kamieniec nawiedziła nowa klęska: w r. 1770 morowa zarazą wyludniła miasto.

Nakoniec nadszedł rok 1793. Komendant twierdzy, Złotnicki, poddał się w kwietniu generałowi rosyjskiemu, Derfeldenowi, za co otrzymał order Aleksandra Newskiego i nadal został komendantem z rangą generała. W drugim rozbiórce Polski województwo podolskie, braclawskie, kijowskie, mińskie, wraz z częściami innych województw dostały się pod panowanie Rosyi.

W r. 1796 z części rosyjskiej województwa podolskiego (nieznaczny obszar po rzekę Zbrucz dostał się Austrii już w r. 1772) i z województwa braclawskiego utworzono gubernię podolską.

Takie to są dzieje, w krótkich opowiedziane słowach, Kamieńca Podolskiego.

Lecz gdyby stare mury i omszałe zwaliska umiały mówić, ilebyśmy się dowiedzieli ciekawych, a zarazem strasznych szczegółów, jakieby się różnorodnie obrazy przed oczami duszy przesunęły,



ZAMEK KAMIENIECKI W STANIE OBECNYM.

Fot. K. Kulwiec.

ileby stanęło hufców zbrojnych, ilu wielkich rycerzy, niosących chętnie dla idei życie w ofierze.

Kości dawnych, nieprzejednanych wrogów spoczywają teraz zgodnie obok siebie pod wałami zamku, pod okopami miasta, — bo matka ziemia każdego swego syna z równą miłością przytuli i prochy wiernych, czy pohańców taką samą runią umai...

II.

Kamieniec składa się obecnie z dwóch, bardzo różniących się dzielnic: starego miasta na skale, otoczonego Smotryczem, i części nowej, zwanej Nowym Planem, gdzie są długie ulice z pięknymi willami. Oprócz domów prywatnych wznoszą się w tej części nowo-zbudowane gmachy

rządowe, oraz najobszerniejsze cerkwie, a wszystkie budowle otacza zieleń, ogrody i ogródki, niektóre z wielkim smakiem urządzone i utrzymywane z prawdziwą pieczołowitością.

Podróżnego interesuje jednak przede wszystkim stare miasto, gdzie na każdym kroku spotyka pełno pamiątek i zabytków przeszłości.

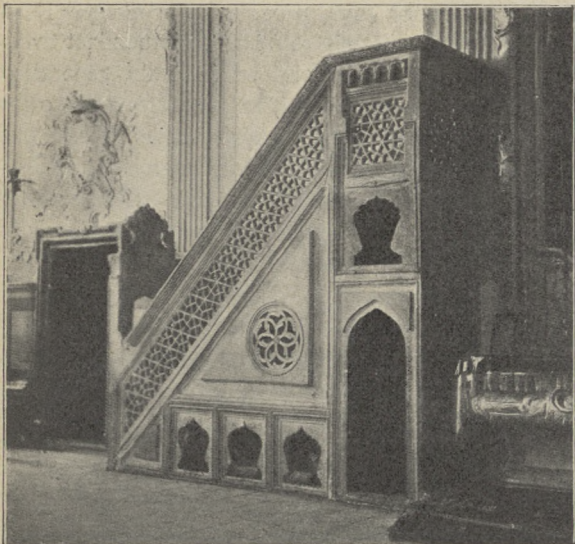
W starym mieście ulice wąskie, domy niektóre bardzo dawne. Zamiast bogatych sklepów ormiańskich — skromne sklepiki i kramy, przeważnie żydowskie. Żydzi dopiero od r. 1848 uzyskali stałe prawo osiedlania się w Kamieńcu, jednakże stanowią obecnie poważną część mieszkańców miasta i prawie cały handel dzierżą w swym ręku. Zresztą handel

wogóle rozwinięty bardzo słabo, a przemysł zupełnie martwy; Kamieniec nie posiada żadnej fabryki. W sklepikach dominuje towar warszawski; nie wiem, czy rzeczywisty, czy też tylko tak nazwany dla klienteli polskiej.

Z dawnych kościołów katolickich istnieją jeszcze cztery. Katedra wzniesiona została przez biskupa Buczackiego. Struktura jej bardzo dziwna, bo składa się z przybudówek z różnych czasów, dokonanych staraniem różnych biskupów kamienieckich. Stąd style bardzo pomieszane. Nawa — gotycka, kaplica Matki Boskiej — rokoko. W nawie pięknie rzeźbione dębowe stalle i ambona; antepedium w wielkim ołtarzu z mozaiki alabastrowej. W zakrystyi wisi portret Augusta II Sasa, na pamiątkę, że za jego czasów odzyskała Polska Kamieniec.

Dycezya kamieniecka istniała od r. 1375 do r. 1866, w którym to czasie biskupstwo skasowano, a dycezyę przyłączono do łucko-żytomierskiej. Gdy za tureckich czasów katedrę zamieniono na meczet, wybudowali turcy tuż przy kościele minaret, który do dziś dnia tam stoi. Mikołaj Dembowski, biskup kamieniecki, po ustąpieniu Turków z Kamieńca, umieścił na wierzchołku minaretu posąg Matki Boskiej ze spiżu, na pięć łokci wysoki, odlany w Gdańsku.

Do katedry prowadzi bramka, wzniesiona przez biskupa Krasieńskiego w r. 1781 na przyjazd do Kamieńca Stanisława Augusta. Król odbył wtedy wjazd tryumfalny do miasta; w jego orszaku byli: książę Adam Czartoryski, wojewoda Stempkowski i inni dostojnicy. Generał Witte, komendant twierdzy, wręczył królowi przy moście klucze warowni. (Po Wittem istnieją w Kamieńcu dwa domy: jeden zbudowany dla Zofii Greczynki, późniejszej żony Szczęsnego Potockiego; w drugim — ogromnym, murowanym mieści się obecnie szpital). Stanisław



AMBONA W KOŚCIELE PO-DOMINIKAŃSKIM W KAMIEŃCU. Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.



Poniatowski mieszkał w rynku, w domu, który dotychczas istnieje; w czasie pięciodniowego pobytu zwiedził kościoły, twierdzę, a nawet Żwaniec i Chocim. Była to ostatnia chwila promienna dla Kamieńca. Król odjechał bramą Lacką na Łatyczów do Warszawy.

Kościół Dominikański sięga XIV wieku. Po Koryatowiczach — dobrodziejem Dominikanów był Świdrygiełło, dał im wieś Ziubrowkę. W późniejszych czasach rodzina Potockich opiekowała się zakonem, to też w kościele w kilku miejscach widnieje herb Potockich, Piława, a na jednej ścianie

Na dziedzińcu klasztornym był dawniej pomnik córki Halil-paszy, która za młodu zmarła w Kamieńcu.

Dzisiaj dziedziniec zarośnięty, zaniedbany, gdyż klasztor już skasowano r. 1843. W dawnym mieszkaniu zakonników mieści się obecnie dość ubogie Muzeum starożytności, obejmujące przeważnie zabytki ziemi podolskiej.

Trzeci kościół—to Trynitarzki. Trynitarze zajmowali się wykupywaniem jeńców z niewoli tureckiej. Tę ich czynność przedstawiają obrazowo figury na kościele, przed bramą wchodową. Ka-



ZAMEK KAMIEŃIECKI PRZED 1876 ROKIEM.

Pol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

jest duży fresk, przedstawiający uprowadzenie z niewoli tureckiej któregoś z Potockich przez św. Dominika.

Największą ozdobą kościoła jest owa prześliznana, ciosana na azur kazalnica, sprowadzona z Konstantynopola przez Halil-paszę, gdy kościół Dominikański stał się jego własnym meczetem. Na kazalnicę prowadzą przez drzwi kamienne tej samej roboty schodki z baryerką kamienną ażurową bardzo piękną, z napisem tureckim: „La Allah, Allah, visul Allah“. Taki sam azur otacza podobno grób Mahometa.

sata klasztoru nastąpiła w r. 1842, obecnie w dawnym klasztorze mieści się biuro policyi.

Ormianie posiadali w Kamieńcu kościołek dla swego wyznania już za czasów Lwa Daniłowicza, księcia halickiego, który ormianom nadał prawo obywatelstwa. Ten kościołek jest dzisiaj cerkiewką św. Mikołaja i należy do najstarszych zabytków w mieście. W zakrystyi mieszczą się księgi liturgiczne ormian z XIII wieku.

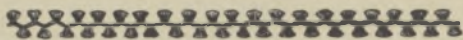
Późniejszy kościół Ormiański z XIV stulecia zupełnie został przez Turków zrujnowany. Obecnie istniejący powstał z gruzów w wieku XVIII i

jest kościołem rzymsko-katolickim. Wielki ołtarz zdobi cudowny obraz Matki Boskiej Ormiańskiej, malowany na desce cyprysowej. Jest to zabytek archaiczny. Miał być przywieziony z Ani na Kaukazie do Krymu, a stamtąd do Kamieńca. W czasie najścia Turków uwięziony został przez mnisz-

ki ormiańskie do Lwowa i tak ocalał szczęśliwie przed grabieżą. Ludność miejscowa chrześcijańska, bez względu na wyznanie, ma bardzo wielką cześć i głębokie przywiązanie do tego obrazu, i gdy bywa odstonięty, zawsze jest kościół natłoczony.

(d. c. n.)

Jadwiga Warnkówna



Juliusz Huret.

Na wybrzeżach Bałtyku.

5)

Właśnie też znajduje się w Królewcu fabryka celulozy, której dyrektorem jest p. Emil Teppich, jeden z tych miłych, uśmiechniętych i grzecznych Niemców, których się spotyka z przyjemnością. Dzięki temu, zwiedziłem jego fabrykę bardzo szczegółowo.

Instalacja jest wspaniale pomyślana, wygodna, dobrze urządzona i porządna do pedanterii. Przerabia się w niej 20 wagonów, czyli 200.000 kilogramów drzewa dziennie. Jakkolwiek fabrykacja nie odróżnia się niczem szczególnym od francuskich tego rodzaju zakładów, sądziłem, że dobrze jest, na wszelki wypadek, nauczyć się czegoś nowego i zanotowałem różnorodne poszczególne operacje oraz używane na miejscu maszyny.

Celulozę otrzymuje się z sośniny białej albo różowej. Cięte i obrzynane pniaki kładzie się pod maszynę, która w mgnieniu oka kraje je na małe klinki, mające około 4 centymetrów kwadratowych powierzchni. Robotę tę wykonywują kobiety. Otrzymane w ten sposób klinki podnoszone są za pomocą specjalnego urządzenia na pierwsze piętro i wrzucane do poziomo kręcących się cylindrów, skąd przez drucianą siatkę o mniejszej lub większej gęstości wyrzucane są kawałki żądanych wymiarów. Drzewo w ten sposób pocięte i przesortowane odnosi do ogromnych kadzi, każda o zawartości 250 metrów sześciennych; naliczyłem ich cztery. W każdą taką kładzie się 80 metrów sześciennych drzewa i wygotowuje się parą w ciągu trzech godzin, a nalawszy potem dwusiarczanem sodu, pozostawia się w spokoju przez półtorej doby. Po upływie tego czasu wszystka, zawarta w drzewie, żywica sływa z wodą i przepada, gdyż niestety chemia nie wynalazła jeszcze sposobu zatrzymywania jej, drzewo zaś staje się zupełnie miękkim. Rozrabia się je na ciasto i spuszcza do basenów, w których resztki nieczystości osadzają się na spodzie. Ponownie rozmieszana i oczyszczona masa

sływa potem automatycznie kanałami gęstą warstwą pod walce i tam krzepnie. Teraz jest to już mocna wstęga, którą puszczają najprzód na gorący filc, a potem na gorące walce, na których reszta znajdującej się w masie wody wyparowuje.

Wszystkie te operacje idą jedna za drugą. To co było niedawno drewnem, jest obecnie długą taśmą miękiego kartonu, przepuszczanego przez stalowe zęby i ciętego oraz rozdieranego w pewnych odstępach. Ponieważ nie mogłem sobie zdać sprawy z potrzeby tej operacji, wyjaśniono mi, że o ileby towar taki wchodził do Francji, Włoch i Anglii, jako karton, płaciłby bardzo znaczne cło; natomiast, jako celuloza — o czym właśnie świadczą nacięcia — nie płaci go wcale.


W tej formie zatem celuloza dochodzi do francuzkich, włoskich i angielskich papierni, gdzie przywracają ją do stanu pierwotnego t. j. robią z niej masę, i z tej dopiero masy wyrabiają papier w gatunku, poszukiwanym przedewszystkiem w danym kraju; oszczędza to pierwszych, wspomnianych wyżej, etapów przeróbki. A tutaj drzewo, brane z lasów Prus Wschodnich i Królestwa Polskiego, jest tanie.

Dzień w dzień fabryka p. Teppicha wysyła w ten sposób 9 wagonów celulozy o wartości 16—17000 marek, co się równa 20000 franków; miesięcznie wynosi to zatem 600000 franków.¹⁾

Później p. Teppich prowadzi nas nad Pregolę, gdzie stoi pełno berlinek, jedne naładowane drzewem, które właśnie przenoszą prosto do fabryki, inne z gotową już celulozą. Oczywiście operacje te dokonywane są bez najmniejszego harmidru i z najzupełniejszym spokojem.

Ale to jeszcze nie wszystko. Jak mówiłem, do zmiękczenia włókna drzewnego i wyciągnięcia żywicy, potrzebne są chemikalia. Wyrabiają je tutaj na miejscu, pomiędzy fabryką a rzeką. Da-

¹⁾ Około 225,000 rubli.



wniej kupowano siarkę w Sycylii a wapno w Szwecyi i z nich dopiero otrzymywano potrzebny dwusiarczan wapnia. Teraz fabryka sprowadza z Hiszpanii i Norwegii piryty, z których sama otrzymuje kwas siarczany, a jako pozostałość tworzy się tlenek żelaza, który sprzedaje się fabrykom metalurgicznym. Zdarza się nawet, że niektóre wielkie zakłady metalurgiczne nadsyłają fabryce minerały, wzamian za które otrzymują tlenek żelaza, co dla obydwóch stron wypada ze znacznym zyskiem.

Przy fabrykacji chemikalii zajęci są robotnicy, pochodzący z Rosyi, którzy za 10 godzinną pracę zarabiają 3.75 franka dziennie. Pomimo ohydnej atmosfery, w jakiej spędzają dzień, uważają, że nie jest im tu gorzej, niż u siebie w domu, gdzie za 12 — 14 godzin dostać mogą 70 kop., i że warto jest podjąć trud przejścia granicy.

■ ■ ■

Pozostała mi do zwiedzenia już tylko Kurońska mierzeja, która na mapach tak dziwnie zagradza wybrzeże między Kłajpedą i wioską Cranz, oraz kopalnie i zakłady bursztynowe.

— Na mierzei Kurońskiej zobaczyłby pan tylko ciągnące się przez 97 kilometrów piaszczyste wzgórza (diuny), objaśniają mnie, i stację ornitologiczną, do której z całego świata zjeżdżają się uczeni celem badania obyczajów przelotnych ptaków, jakie zatrzymują się tam w swoich podróżach z północy; jest to hotel bocianów, czapli, żurawi i ze dwudziestu innych gatunków ptactwa.

Gdybym znalazł się w Królewcu podczas ciągu, nie mieszkiałbym oczywiście przekształcić się na ornitologa; ale teraz w samym środku sierpnia wzgórza są puste. Decyduję się wobec tego na kopalnie bursztynu. Wsiadam do pociągu, który mnie zawiezie w ciągu 1½ godziny do małej miejsciny Palmnicken, i jadę na miejsce. Po drodze zbieram wiadomości o pochodzeniu bursztynu.

Bursztyn czyli ambra jest żywicą kopalną, która znajduje się w miejscowości, zwanej przez starożytnych wybrzeżem bursztynowym t. j. wzdłuż brzegu Bałtyku od Gdańska do Brüsterost. Miejscem zaś, gdzie obfitość bursztynu jest największa, jest Palmnicken.

Żywicę tę wydzielano z siebie za czasów formacji trzeciorzędowej drzewo, zwane w nauce

„*Pinus succinifera*“; sądząc z bardzo dużych kawałków, ściekała ona bardzo obficie, co tłumaczy znajdowanie w pojedynczych odłamach bursztynu muszek, komarów, a nawet liści i odpadków roślinnych, jakie obecnie rosną już tylko w krainach podzwrotnikowych. Przypuszczają, że wydzielania te powodowane były przez chorobę drzewa, i że bursztyn był rodzajem materyi, cieknącej z rany.

Zdaje się, że Etruskowie, Grecy i Fenicyanie przyjeżdżali aż tutaj dla zdobycia bursztynu. W istocie, ten rodzaj bursztynu, z jakiego wyrabiane były przedmioty, znajduwane w grobowcach greckich, pochodził napewno z tych stron. W Japonii i na wybrzeżach sycylijskich znajduje się jedynie „gedanit“, rodzaj bursztynu, niższego i bardziej łamliwego gatunku.

Dawniej, aż do ostatnich czasów, nie było potrzeby szukać bursztynu pod ziemią. Przy płytkości Bałtyku, działanie fal na piaski nadbrzeżne odkrywało pokłady i po pewnym czasie wyrzucało razem z mnóstwem innych przedmiotów i okruchy bursztynu; albo też, miotane ruchem wody, wpadały w sieci rybackie; albo wreszcie, przy zupełnie spokojnem morzu, mieszkańcy wybrzeży wyławiali połyskujące przez przezroczystą wodę kawałki. Ale w 1883 r. jakiś jegomość — osoba prywatna — wpadł na pomysł kopania bursztynu i zarobił na tem dobre pieniądze, a rząd pruski, który ma mocno rozwinięte skłonności handlarskie, odkupił od niego w 1883 r. kopalnie za 13 milionów franków.¹⁾ Dzisiaj, podług prawa, zbieranie bursztynu jest monopolem państwa i mieszkańcom nadbrzeżnym nie wolno go nawet ruszać, chyba w celu odniesienia do składów rządowych. Po burzy dozorczy rządowi idą bardzo wczesnym rankiem wzdłuż brzegu, poszukując okruchów, wyrzuconych przez morze. Ja sam, w dzień mejego przyjazdu do Palmnicken, próbowałem podczas tego pięknego letniego popołudnia wyszukać kilka ułamków cennej żywicy wobec pluskających się milczkiem w wodzie małych Prusaków. Jako pamiątkę przywoziłem sobie trochę maleńkich kawałków, które mi się udało odnaleźć.

(d. n.)

tłum. St. Th.

¹⁾ Waga wydobytego w 1905 r. bursztynu wynosi 950,000 kilogramów, wartości około 3 milionów franków. W tem zbiór Francyi wynosił 3,500 kilo wartości 251,000 franków.



GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.



V.

Jak pożółkły i suchy liść o późnej jesiennej porze, sypie się i przepada nasz starodawny, polski obyczaj.

Jak liść zwiędły, oderwany od drzewa, co się czasem w łagodnym słonecznym blasku ściele złotystym kobiercem, a czasem, gwałtowną szarpany wichurą, ulatuje w jakimś dziwnie żalonym pośpiechu, mieszany z błotem i piaskiem.

Źle to czy dobrze?

O tem dużo byłoby gadać. Możnaby oczywiście, kupiwszy flaszkę atramentu, pudełko stałówek i ryzę papieru, napisać tom jeden i drugi za lub przeciw.

A gdyby po drodze zabrakło natchnienia, wystarczyłoby zastrzyknąć sobie jakiejś mocno skoncentrowanej, bardzo czarnej czy bardzo czerwonej podniecającej substancji i potem albo wyrwać sobie garść włosów, że stare zwyczaje już giną, albo z efektownym traskiem urwać guziki od kamizelki—łagodniejsza forma „rozdzierania szat”— że jeszcze nie zginęły.

Ale to wszystko nic nie pomoże.

Odwieczne tradycje, które przeżyły setki, czasami tysiące lat i które przetrwały najgwałtowniejsze ciosy, zadawane z zewnątrz budowie społecznej, zdolne są jeszcze i dzisiaj przetrzymać niejedno suche i twarde dotknięcie obcej ręki, choćby chowając się przed nią, jak ślimak do skorupy. Z drugiej strony, są one w tym wieku, że niewiele im się już na świecie należy, i pomimo najtroskliwszej opieki, muszą zgasnąć, jak wypalona lampa, wcześniej czy później. I możnaby, co

najwyżej, wysnuć stąd wniosek, że jak wszystkim rzeczom, które tak wielką mają przeszłość za sobą, należy się im pewne uszanowanie, i że otacza je smutek, towarzyszący zwykle temu, co już odchodzi na zawsze.

Bo nie ulega wątpliwości, że z tym zamierającym obyczajem schodzi do grobu cały świat stary, świat wierzeń, pragnień, usiłowań, świat, który także był kiedyś młodym, i który, wynajdując na określenie swoich uczuć ściśle ustalone formy zewnętrzne, wkładał w nie

całą swą duszę i całą siłę życiową. A dziś się rozptywają, jak we mgle, obydwa.

Tak przedewszystkiem zamiera, tak nawet już prawie wymarł doszczętnie, stary świat i stary obyczaj szlachecki. Klasa, która na swoje barki i na swoje sumienie brała przez długie stulecia przedstawicielstwo całego narodu, która pozatem w pewnych przynajmniej momentach i w pewnych kierunkach miała w sobie aż za dużo temperamentu i ognia, mogła i musiała wypowiadać się w sposób żywy, barwny i wyraźny. A że, bądź co bądź, przez cały czas swej działalności nie zrywała nigdy nici, wiążących ją z dolnemi warstwami społeczeństwa, z którego wyszła, więc po dziś dzień sposób, w jaki żyła, bawiła się, marzyła i pracowała, musi nam wydawać się nietylko malowniczym, miłym i wdzięcznym, ale i rdzenie polskim i nadewszystko sercu naszemu bliskim.

Ale tej szlachty już niema. Jeszcze z niej wychodzi znaczna część tego, co u nas przoduje sercem czy głową, jeszcze niektóre, czasem nic z nią wspólnego niemające osobniki, próbują sztucznie przedłużyć czy wskrzesić wygasłe życie,— faktem jest, że szlachty, jako stanu o mocno spójnej strukturze i przedziwnie charakterystycznych konturach, niema już. Przynajmniej niema jej na powierzchni życia narodowego, które przytem dziś tętni najmocniej nie na wsi, lecz w mieście.

Ale w naszych miastach, to co stało na wierzchu, co reprezentowało je i nadawało im koloryt, było czasem zupełnie nie polskie, a czasem, w najlepszym wypadku, wprawdzie doszczętnie spolszczone, ale przecie zawsze z obcego pnia przeszczepione. Nie doszło wreszcie nigdy



do pełni życia, nie dobiło się nawet swobody i możliwości wolnego wypowiedzania się, nie skryształowało się dość wyraźnie. Idealem, gorąco choć w skrytości ducha — piastowanym, było życie szlacheckie, ale zanim nadeszła chwila przejścia ze słabnących rąk współzawodnika berła w swoje ręce, samo upadło i rozsypało się w gruzy.

Pozostał lud, który również wyzbywa się swoich starych zwyczajów tak gwałtownie, jakby to było znoszone, grożące opadnięciem, odzienie. Częściowo dzieje się to może dla tego, że wiele z tych zwyczajów było prostem naśladownictwem, tyle tylko, że do skromniejszych warunków bytu przystosowaniem, zwyczajów i obyczajów szlacheckich i że ustała chęć naśladownictwa, skoro pierwowzoru zabrakło. Aleć giną niewątpliwie i te zwyczaje, które są starsze nie tylko od naśladowanych form życia szlacheckiego, ale i od samej szlachty, które może przyniesione zostały z jakichś nieznanych nam nawet bliżej przeddziejowych siedlisk aryjskich. Przy zmienionych warunkach społecznych i materialnych, przy nawale nowych, głębi życia sięgających zagadnień i celów, braknie jednak i tej najmłodszej, spodniej warstwie narodu chęci i energii do obrony tego, co widocznie sama za przeżytek uważa. Niema w tem jeszcze powodu do rozpacz, bo w tym wypadku zanik cech i wyrazów zewnętrznych nie jest bynajmniej równoznacznem z wygasaniem życia wewnętrznego i zaniechanie np. odwiecznego zwyczaju sobótek albo dożynków ma jednak zgoła inną wartość i inne znaczenie, aniżeli ustępowanie ze starych puszcz litewskich ostatnich żubrów.

Ale, jak już rzekło się wyżej, jest w tem nie mniej przeto smutek rzeczy bezpowrotnie ginących.

Niewątpliwie, na miejsce starych form życia nastaną nowe. Naród, który w rdzeniu swym i istocie pozostał nietkniętym, który w duszy swej nosi jaknajdokładniej określone sympaty i antypaty, który ma wreszcie bardzo mocne i bardzo wrażliwe poczucie swojej odrębności, nie mógłby poprzestać na jakimś mdłym, kosmopolitycznym szablonie życia, ani tembardziej nie mógłby przyswoić sobie obyczaju cudzego. Byłaby to sprzeczność w samym założeniu, ponieważ właśnie naród, odbłaskiem cudzego życia żyjący, nie miałby w sobie poczucia odrębności, nie umiałby kochać ani nienawidzić, nie umiałby pamiętać, bodaj, że nie umiałby nawet żyć i przeto w niewątpliwiej konsekwencji nie żyłby już oddawna.

Na razie wszakże nie zanosi się na to. Do urobienia się nowych zwyczajów potrzebna jest przedewszystkiem pełnia życia i znacznie mocniejsze jego napięcie, aniżeli to jest dzisiaj u nas

możliwym. Krytyczne i przełomowe chwile, kiedy cała uwaga skierowana jest bezpośrednio do jednego punktu, cała wola wytężona celem utrzymania się na powierzchni, kiedy się jedną połową piersi oddycha i bicie serca w sobie zataja, nie są odpowiednie do obmyślenia nowych zwyczajów. Dość będzie, jeżeli się ochroni od doszczętnego zaniku to, co się zostało z dnia wczorajszego, nie dla tego, żeby pewne skostniałe przeżytki miały być już na zawsze nienaruszalnym przykazaniem, jeno dla tego, żeby kiedyś w wolniejszej chwili było czem wczoraj z jutrem powiązać.

Naogół odczuwa się to u nas dość trafnie i żywo. Nasza nauka, literatura i sztuka nietylko spełniały przez długie szeregi lat to wszystko, co było ich obowiązkiem, ale wkładały w pracę swoją znacznie więcej zapału i miłości, aniżeli im to było dozwolone. Stąd, jeżeli były szczyby i to szczyby świecące bezwstydnie, jakby wybite kamieniem, nie nasza w tem wina. Dość przypomnieć, że przed kilkudziesięciu laty wolno było — od biedy — Kolbergowi zebrać melodye obrzędowe ludu w kilkunastotomowym wydawnictwie, ale wydać ich zharmonizowanych do szerokiego użytku nikomu nie było wolno.

Publiczność, która nie mogła traktować tych spraw naukowo, ani czerpać z nich artystycznych natchnień, robiła co mogła, i czekała i życzliwie popierała wszelkie w tym kierunku przedsięwzięte usiłowania.

Jednym z dowodów jej życzliwości było szybkie rozprzedanie pierwszego nakładu Roku Polskiego — Glogera, który się właśnie teraz ukazał na świat powtórnie.

Dziwna bo też to jest książka, coprawda. Na pozór zwykłe, suche, szkolne wypisy, w których kilkudziesięciu autorów zabiera w krótkich urywkach głos i opowiada nam o tem, jak dawniej życie polskie wyglądało na zewnątrz.

Ale już po przerzuceniu kilkunastu kartek ogarnia czytelnika jakieś dziwne wrażenie, coś, jakby subtelny ale wyraźny i miły zapach starych, oddawna nieporuszanych pamiętek. A potem mimo naszej woli i wiedzy, cały ten światek zaczyna nabierać coraz żywszych kolorów, coraz dalej natomiast, jakby w mgłę, odsuwa się codzienna rzeczywistość. Pachnie, jak świeżo skoszone siano, wiecznie młoda i bujna polszczyzna Reja, pręży się i połyskuje, jak w ciepłym majowym słońcu, misterny wiersz Kochanowskiego i tak dalej i dalej, przez czasy sławy i przez cza sy upadku aż do tych ostatnich, dzisiejszych, którzy, jak ginące już echo, powtarzają głos, idący ze zmierzchłej przeszłości. A jak ciepłą, serdeczną nicią przewija się przez cały ciąg dzieła szereg



pouczających i barwnych uwag, spostrzeżeń i wspomnień autora. Wieje z nich nietylko głęboka i porównawczo wszechstronna erudycja, ale i tak gorące umiłowanie przedmiotu, jak gdyby ten człowiek, który przecie ciągle „z żywymi idzie naprzód“, musiał odwracać się ciągle na drodze swojej i patrzeć, gdzie pędzi i przepada tak szybko ukochana przeszłość. Jakoż trudno na tem miejscu nie wspomnieć, że ta książka jest tylko jednym z ogniw łańcucha, który się ciągnie długie szeregi lat; że już w 1869 r. młody, początkujący pisarz wydał w Krakowie swoje cenne

i sumiennie opracowane „Obchody weselne“ i że wówczas już w pracę swoją zaczął wkładać tyle siły, duszy i majątku, ile go stać było. To też nikt może wśród współcześnie żyjących Polaków nie miał do wydania takiej podręcznej książki polskich pamiątek większego tytułu, niż—Zygmunt Gloger.

Są książki, które porywają, są, które uczą, są, które bawią. Zamknąwszy ostatnie karty „Roku Polskiego“ chciałoby się autorowi poprostu a serdecznie powiedzieć: „Bóg zapłać“.

Boruta.



Trupa włościańska w Warszawie.

Dwukrotnie w ciągu ostatnich tygodni występowała w Warszawie, na scenie teatru Letniego, trupa włościańska ze wsi Zawady, z Garwolińskiego. Grano sztukę Domnika, nagrodzoną na konkursie dramatycznym we Lwowie,—p. t. „Ojcowizna“. Rzecz to nie wybijająca się zbytnio ponad szablonowe pojęcie o „sztuce ludowej“, t. j. sztuce dla ludu przeznaczonej; tłoczyła się jednak publiczność warszawska, aby zobaczyć po raz pierwszy prawdziwych chłopów, odtwarzających własne życie na scenie. Siermiężni artyści wywarli doskonałe wrażenie, ujmując słuchaczy ogromną prostotą i swobodą.

Kompania dramatyczna z Zawad nie jest bynajmniej w kraju jedyną. Co raz to słyhać o jakiejś nowo-powstałej trupie wiejskiej, lub przynajmniej o zorganizowanym ad hoc przedstawieniu scenicznym. Objaw ten, łącznie z powstawaniem już gdziegdzie domów ludowych, dowodzi istnienia rosnącej potrzeby kulturalnych rozrywek. Jest to jedno z tych drgnięć duszy, które nurtują wśród naszych mas ludowych.

Rozwojowi teatrów włościańskich u nas grozi poważne niebezpieczeństwo, ujawnione w doświadczeniach zorganizowanego przed kilku laty związku teatrów włościańskich w Galicyi,—w dążeniu do popularyzowania sztuki zbroczyć łatwo do protegowania jarmarcznej tandety.

Nie posiadamy zupełnie repertuaru odpowiadającego potrzebom,—co gorsza, nie posiadamy ciągłej tradycji rodzimej sztuki scenicznej.

Abym sięgnąć do pierwotnych źródeł „szopki“—na niej od fundamentów wnieść gmach polskiej sceny, odpowiadającej duszy ludu,—potrzeba talentów wielkiej miary.

Po nad twórczością Anczyca przeszło już pół wieku tymczasowych usiłowań, — dziś punktem zwrotnym stać się może chyba Wyspiańskiego „Wesele“.

Obok marnoty repertuaru scen ludowych, do zwinięcia samorzutnego pędu do sztuki przyczynić się też może popisowe traktowanie przedstawień, które nie

powinny mieć nic z zawodowego charakteru stałej sceny.

Pierwszy występ włościańskiej trupy w Warszawie winien zwrócić ogólną uwagę, nie jako sensacyjne swą nowością widowisko, ale jako objaw ruchu, domagającego się właściwego pokierowania. *I. K.*

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Zofia Hartingh. — Przewodnik po ziemi Kaszubskiej z 20 rysunkami. — Warszawa, 1909. Książki dla wszystkich M. Arcta — 40 kop.

Dla nudzących się w morskich kąpielach gości sopockich napisała p. H. swój przewodnik po Gdańsku i kilku miastach kaszubskich. Ze względu na mało rozpowszechnioną u nas znajomość tych stron i na niewielką ilość prac, poświęconych im, ukazanie się nawet bardzo popularnej broszurki należy witać z uznaniem, jako zapowiedź budzącego się zainteresowania.

Podkład faktyczny, czerpany przeważnie ze Słownika Geograficznego, oświetlony jest przez autorkę żywo i ciepło, choć nie bez pewnego zbytecznego niekiedy subiektywizmu. Ale szkoda, że uczucie — czy uczuciowość — z jakim traktowane są wrogie dla nas objawy życia przy ujściu Wisły, nie doprowadziły p. H. do przekonania, iż walczyć o czystość rodzimego języka trzeba nietylko tam, gdzie ginie gwara kaszubska, ale i tu, gdzie się dostojeństwo rdzennej polszczyzny szarga codziennie w błocie zwykłego niedbalstwa. Nie tylko nie należy, ale *nie wolno* pisać: „Kaszuba odnosi się do Polaka zyczliwie“, „cienki piasek“ (dünnere Sand), „wieża widoków“ (Ansichtsturm), „Hela“ zamiast Hel, „Marienwerder“ zamiast Kwidzyn. Równie niedbałym był korektor, który Heydensteina przerobił na Seydensteina, a datę bitwy pod Grunwaldem ustalił ostatecznie pod rokiem 1412!

T-t.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ W Teolinie, położonym pod m. Sopoćkiniami, w pow. augustowskim (gub. suwalska), istnieje prawosławny monaster żeński, w którym mieszka około setki mniszek i pracownic. Dotychczas skarb udzielał temu monasterowi 2,765 rub. rocznej zapomogi; znaczne też datki nadsyłał zmarły niedawno Joan Kronsztadzki, którego ofiarność pozwalała monasterowi istnieć bez szczególnych trosk. Obecnie to źródło nie istnieje i w październiku 1909 roku synod wystąpił do Dumy z wnioskiem o wyznaczenie monasterowi teolińskiemu 6 tys. rubli zapomogi rocznej, powołując się na to, że monaster jest „mocną opoką prawosławia i rosyjskiej narodowości w kraju”.

Twierdzenie to wymaga bliższego rozejrzenia się w statystyce ludności. Okazuje się, że gmina Wołowiczowce, w której obrębie leży monaster teoliński, liczy na 10,022 mieszkańców zaledwie 245 prawosławnych, przyczem na wsi mieszka tylko 2 prawosławnych, zaś w m. Sopoćkiniach 245 (zapewne w to policzono mieszkanki monasteru). W liczbie mieszkańców gminy jest 6,559 katolików i 3,217 żydów. Stąd wynika, że monaster działa wyłącznie wśród ludności katolickiej, jeżeli nie brać pod uwagę żydów. Sam synod pośrednio to przyznaje, mówiąc, że monaster w swem ambulatoryum udzielił porad 6 tys. osób, „przeważnie obcego wyznania”. Oczywiście owe 6 tys. przyszły nie z samej gminy Wołowiczowce, lecz i z innych.

Ale i inne gminy w powiecie są również katolickie. Statystyka urzędowa z r. 1908 wykazuje, że w całym pow. augustowskim, w którym leży Teolin, na 89,622 mieszkańców jest prawosławnych tylko 1,635 osób, czyli 1,3 proc., staroobrzędowców 1,189 osób, czyli 1,8 proc., katolicy zaś obliczeni są na 73,748 osób, czyli 82,3 proc. i żydzi na 12,616, czyli 14,1 proc. A zatem i w stosunku do całego powiatu monaster teoliński znajduje się na terytorium, wyznaniowo dlań obcem.

Dane te wykazują, że roczna zapomoga w kwocie 6 tys. rb., której synod żąda od skarbu dla monasteru teolińskiego, służyłaby celom wyznania prawosławnego wśród ludności czysto-katolickiej.

+ Francuskie Towarzystwo aklimatyzacyi odznaczyło medalem Józefa hr. Potockiego za zasługi w dziedzinie przyrodoznawstwa. Odznaczenie to jest wyrazem uznania za założenie i utrzymywanie przez hr. Potockiego olbrzymiego zwierzyńca w Pilawinie na Wołyniu. Zwierzyniec ten, założony w r. 1901, ma na celu aklimatyzacyę zwierziny egzotycznej. Hr. Potocki zamierzał początkowo ustalić i rozmnożyć łosie, które zamieszkiwały niegdyś w wielkiej ilości lasy wołyńskie. Chodziło tedy o uratowanie i zachowanie tej zwierziny, która z postępem cywilizacji w wielu miejscowościach przeszła już do tradycyi. Aby uratować ginący gatunek od zagłady, hr. Potocki sprowadził łosie z Polesia i puścił je na 10 morgowej przestrzeni, ogrodzonej w lasach pieszczowskich. Przestrzeń ta okazała się za małą, a kiedy hr. Potocki powziął ostatecznie myśl

aklimatyzacyi zwierziny egzotycznej, rozpoczęto stopniowo powiększanie zwierzyńca, który zajmuje dziś około 6,000 morgów, ogrodzonych parkanem z tarcic na 9 stóp wysokości.

W r. 1903 p. Pokalski, nadłowczy hr. Potockiego, odbył wycieczkę do gubernii jenińskiej, skąd sprowadzono całe partye jeleni, zwanych „malarami” i sarn „pygargus”. Jednocześnie hr. Potocki czynił wielokrotne zakupy u firmy Hagenbecka, która dostarczyła okazy kanadyjskiego jelenia „wapiti” i odmianę mandżurską tak zwanego jelenia Dybowskiego. W ogrodzie zoologicznym berlińskim nabyto jelenia kaukaskiego, a hr. Zamoyski z Białejrusi nadesłał w r. 1905 parę młodych niedźwiadków. Następnie wzbogacają zwierzyńiec żubry, bizony amerykańskie i renifery z Wołogdy. Zwierzyńiec przewyciężył zczasem wszystkie przeszkody. Zwierzyzna rozmnaża się z każdym rokiem, aklimatyzacya egzotycznej zwierziny znajduje się na drodze pomyślnego rozwoju.

+ Ministerjum spraw wewnętrznych zatwierdziło budżet ziemski dla Podola w sumie 3,206,475 rb. Ważniejsze pozycye dochodowe stanowią: 2,200,403 rb. z gruntów i lasów obywatelskich, włościańskich i miejskich, 211,024 rb. z innych nieruchomości, z fabryk i zakładów—122,724 rb., z gruntów skarbowych, apanaży—78,758 rb. W szeregu znaczniejszych wydatków na pierwszym miejscu figuruje: pomoc lekarska—891,576 rb., szkolnictwo—657,215 rb., zarząd cywilny—563,106 rb., komunikacye—464,003 rb., duchowieństwo—157,147 rb. i t. d.

+ Dnia 19 lutego, jako w dniu urodzin Kopernika, odbyło się we Lwowie walne zgromadzenie członków Polskiego Tow. Przyrodników im. Kopernika. Zagałł je zastępca prezesa Tow. prof. dr. Smoluchowski, zdając sprawozdanie z czynności Zarządu, w którym opisał akcyę w sprawie utworzenia działu przyrodniczego w krakowskim Muzeum narodowem. Sprawa ta idzie ciężko, gdyż miarodajne sfery tłumaczą się złym stanem finansów krajowych i brakiem miejsca na Wawelu, Zarząd Tow. jednak, sądząc, że Muzeum narodowe powinno dać cały obraz także teraźniejszego stanu ojczyzny naszej, więc nie może pominąć fauny i flory polskiej, starań w tej sprawie nie zaniecha. Liczba członków wzrasta stale. W końcu mówca zwrócił uwagę, iż wydawnictwo organu Tow. „Kosmos” pochłonęło w ubiegłym roku znacznie więcej gotówki, niżli w latach ostatnich, wzrosło ono jednak z 30 arkuszy druku na 72 arkusze i jest prawdziwą chlubą Towarzystwa i nauki polskiej.

Sekretarz Tow. prof. dr. P. J. Mazurek odczytał następnie sprawozdanie Zarządu. Sprawozdanie kasowe zdał prof. dr. Zakrzewski, wykazując pozostałą gotówkę w kwocie 127 kor., prócz 1500 k. zaległości do ściągnięcia. Następnie wygłosił dr. S. Krzemieniewski odczyt pod t. „Rośliny a światło” opracowany na podstawie najnowszych badań nad tworzeniem się chlorofilu.

Po wykładzie przystąpiono do wyboru przewodniczącego i czterech członków Zarządu, ustępujących

w myśl statutów Towarzystwa. Przewodniczącym wybrano prof. dr. Eug. Romera, członkami zaś Zarządu ponownie pp. dr. M. Łomnickiego, dr. Nusbauma, dr. B. Radziszewskiego, dr. J. Zakrzewskiego, a na miejsce dr. Romera, który został przewodniczącym, wszedł do Zarządu dr. M. Huber.

W końcu obrad postawił prof. dr. Dybowski wniosek, aby Wydział rozpatrzył sprawę postarania się o fundusze na dalsze prowadzenie badań terenu w Staruni, gdzie wykopano przedpotopowego mamuta i nosorożca, tudzież utworzenia w łonie Towarzystwa „Sekcyi krajoznawczej”. Na tem zakończono obrady.



† O ciekawym, a dotychczas nieznanym fakcie z dziejów kolonizacji polskiej w Ameryce Północnej donosi wydawanemu w Milwaukee Kuryerowi *Polskiemu* korespondent jego z miasta Winnipeg w prowincyi kanadyjskiej Manitoba, stanowiącego obecnie ośrodek osad polskich w Kanadzie.

„Oto—pisze—pomiędzy najpierwszymi osadnikami lorda Selkirka, za którego inicjatywę poczęła tu w roku 1811 ciągnąć imigracya, a względnie do miejscowości, w której obecnie mieszkamy, czyli do t. zw. „Red River District”, — znajdowali się polacy. Na pergaminie, zawierającym ustawy, według których rządził się pierwsi osadnicy, znajdujemy podpisy przedstawicieli polaków. Wśród podpisów francuskich, angielskich i szkockich, następujący pierwsi tutejsi obywatele polscy zarówno pisali się na ustawy: Wawrzyniec Kwilecki, Michał Bednowicz, Jan Wasilewski, Andrzej Janowski i Wojciech Lassota.

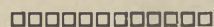
Oni to—pisze dalej korespondent—są właściwie pionierami polskimi w Kanadzie zachodniej.

Przybyli tu między latami 1811 a 1814, a z tytułu tego niezaprzeczonego faktu, należą się nam, polakom, pewne uwzględnienia narodowościowe, ewentualnie zasługujemy na większe u szwabinistów angielskich w Kanadzie poszanowanie. Przeróżne historie Kanady zachodniej, których autorami są przeważnie szkoci, przyznają tylko szkotom i irlandczykom (oranzystom) zaszczyt pierwszego zaludnienia tych okolic, tymczasem pod ustawami tylko kilka znajdujemy nazwisk szkockich, a żadnego irlandzkiego, anglicy i francuzi przeważają w podpisach.

W roku 1912 przypada setna rocznica pierwszego osiedlenia się osadników lorda Selkirka, i z okazji tak

ważnej ma się w Winnipeg odbyć wystawa wszechświatowa. Polacy nie pozostają w tyle. Już poczyniono pewne starania około uwzględnienia nas i wkrótce rozwinię się szersza akcyja. Na razie tylko wspominamy o polakach, jako pierwszych osadnikach w Kanadzie zachodniej; postęp pracy naszej Polonii w zabiegach jej około współudziału w wystawie śledzić będziemy pilnie i nieomleszkamy zawiadomić o nim czytelników. Idzie nam też o to, aby tak wielce ponżany przez szwabinistów anglików wyraz „Gallician” przeciw wreszcie uszanowano, chociażby już ze względu na obecność naszych rodaków między pierwszymi osadnikami tutejszymi.

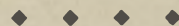
Piękną myśl zainicyowali polacy kanadyjscy na wspólnem zebraniu w niedzielę, dnia 24 października. Sprawę budowy Domu narodowego, jaką od dłuższego czasu omawiano w prywatnych kołach parafian św. Ducha, uznano za zadanie, domagające się urzeczywistnienia najrychlejszego. Gorąco za budową przemawiali na zebraniu pp. J. Perchał, R. Dybek, P. Alechno, H. Cukrowski i A. Jankiewicz. Po dłuższych rozprawach postanowiono zorganizować Towarzystwo akcyjne, którego celem będzie właśnie budowa Domu narodowego i już na pierwszym posiedzeniu 33 obywateli zapisało się na członków. Zatem budowa domu opierać się będzie na planie akcyjnym, byle tylko projekt nie pozostał projektem. Do składu komitetu, mającego zająć się wstępnymi pracami, wchodzić członkowie: J. Perchał, K. Wojna, P. Alechno, R. Dybek, J. Jastrzemski”.



Odpowiedzi Redakcyi.

P. *Annie Hermanównie* w Słobodzie. List skierowaliśmy do Komisji Wycieczkowej Polsk. Tow. Krajoznawczego. Wszelkie wydawnictwa i pocztówki wyd. Tow. Krajozn. administracya nasza wysyła za zaliczeniem pocztowem.

P. *J. Ruskowskiemu* w Zakopanem. Przyczynki do fizyografii Tatr (florystyka, faunistyka i geologia) drukowane były w Rocznikach Akademii Umiejętności i w Kosmosie. Wszelkich odpowiedzi z dziedziny krajoznawstwa w „Ziemi” chętnie udzielać będziemy.



TREŚĆ: *Dr. Józef Siemirudzki* — „Roztocze Lwowsko-Tomaszowskie” (z mapą); *Konrad Chmielewski* — „Pieśniarze Przyrody Polskiej” (dok.); *Jadwiga Warnkówna* — „Na dawnej rubieży” (z 5 ilustr.) — c. d.; *Juliusz Huret* — „Na wybrzeżach Bałtyku” — c. d. (tłum.); *Boruta* — Gawędy Krajoznawcze* V.; *I. K.* — „Trupa włościańska w Warszawie”. Nowe książki. Kronika Krajoznawcza. Odpowiedzi Redakcyi.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował *Mikołaj Wisznicki* — Odbito w tłoczni *Piotra Laskauera* i S-ki — Składał i łąkał *Stefan Turobojski* — Odbijał na maszynie *Waleryan Szlicht*. — Klisze wykonano w zakładzie *B. Wierzbickiego* i S-ki — Papier krajowy z fabryki *A. Moesa* w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**